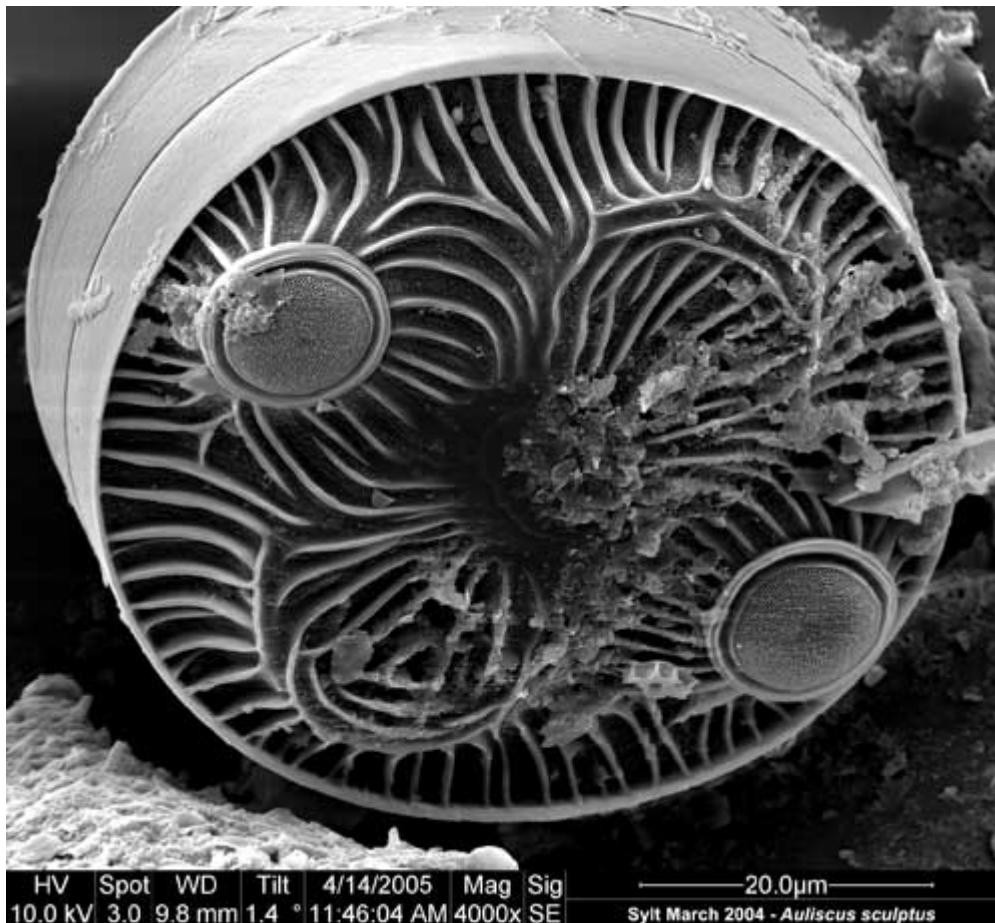


Wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre...

Widziane z morza

Pamiętam międzynarodową konferencję naukową, która odbyła się tuż po upadku muru berlińskiego, a gdzie występowali naukowcy z byłego już wtedy NRD. Jeden z nich, opowiadając o gatunkach wieloszczetów spotykanych na Bałtyku, podzielił te robaki na „dobre dla środowiska” i „obojętne” – ta wypowiedź spotkała się z kategorycznym sprzeciwem przewodniczącego konferencji, bardzo prominentnego profesora z ówczesnego RFN – Gotthilfa Hempela. Bez owijania w dyplomatyczną bawełnę, Hempel powiedział, że to, co właśnie usłyszeliśmy, to socjalistyczna pseudonauka w najgorszym wydaniu, a dzielenie zwierząt na „dobre” i „złe” nie przystoi naukowcom, bo dla przyrodnika wszystkie są równe – nie mamy miary, którą dałoby się zmierzyć ich „dobroć”. Była to typowa dla nauki przyrodniczej deklaracja tzw. *value free science* – czyli nauki obiektywnej, do której nie wolno włączać subiektywnych ocen czy emocji.

Minęło niewiele lat i za sprawą ochrony przyrody do nauki weszły całkiem oficjalnie oceny i wartościowania gatunków – socjoekonomiczne (ocena wartości rynkowej prac wykonanych przez gatunek – np. pszczoły), socjokulturowe (ocena wartości duchowej, estetycznej i historycznej gatunku – np. bocian) i biologiczne (ocena wartości dla ekosystemu, bez odniesień do człowieka). Praktyczne znaczenie takich ocen jest bardzo duże, ponieważ zarządzanie państwa obszarami przyrodniczymi jest zawsze deficytowe i trzeba dokonywać wyborów – dać pieniądze na wilki czy na rysia? Pół biedy, jeżeli mamy tylko taki dylemat, czyli duże i bardzo dobrze znane zwierzę z wyraźną funkcją w ekosystemie. Najczęściej jednak mamy do czynienia z decyzjami dotyczącymi skomplikowanych układów między gatunkami lub obszarów zasiedlonych przez faunę znaną tylko z listy nazw łacińskich, przypominającej książkę telefoniczną. Na przykład w małym, nadmorskim parku miejskim w Sopocie udokumentowano występowanie ponad 600 gatunków zwierząt i roślin (bez organizmów jednokomórkowych). Urząd ma podjąć się budowy nowych ścieżek rowerowych, co może zagrozić 10 spośród 600 gatunków – czy to dużo czy mało? A w dodatku czy te 10 zagrożonych to dziewięć gatunków miniaturowych muszek pasożytniczych i jeden gatunek trawy czy 9 ptaków śpiewających i jaszczurka żyworódka? W pierwszym odruchu każdy powie – a w cholereę z pasożytniczymi błonkówkami. Ale to one kontrolują populację larw ciem zjadających parkowe drzewa.



Na zdjęciu z mikroskopu skaningowego jeden z kilkuset naszych gatunków okrzemek. Nadaliśmy mu nazwę łacińską, mamy jego genom i znamy skład biochemiczny. Nie wiemy nic o jego roli w ekosystemie – czy żyje krótko czy długo? Czy jest chętnie zjadany przez roślinożerców? Jak długo przetrwa bez światła? W jaki sposób odstrasza wrogów? Dlaczego czasem tworzy kolonie? Nasza ignorancja jest ogromna, a chcemy urządzać świat Przyrody. Fot. Agnieszka Tatarek

Trzeba jakoś racjonalnie rozwiązywać takie zadania, problem jednak w tym, że współczesne nauczanie przyrody, od podstawówki do uniwersytetu, rozjechało się na dwa ekstrema – jedno to maksymalne skoncentrowanie na fizyko-chemicznych podstawach biologii z genetyką, a drugie to zbyt prędkie przejście do ekonomii, administracji, prawa i zarządzania środowiskiem naturalnym. Efekt tego rozjazdu to z jednej strony ogrom wiedzy szczegółowej (np. rozpoznanie genetyczne subpopulacji, stopnia skażenia metalami ciężkimi etc.), a z drugiej znajomość paragrafów i zobowiązań, które należy wypełnić. Tylko że dalej nie wiemy, co ten gatunek robi w środowisku, jakie są jego powiązania z innymi. Jak mawia wybitny włoski biolog Fernando Boero, nasze rzekomo racjonalne decyzje w Przyrodzie przypominają nadawanie tytułu Miss Świata na podstawie analizy moczu.

Prof. Jan Marcin Węsławski